

Redaguje kolegium w składzie:

Halina Filarowska

Juliusz J. Preister

Grzegorz Rachlewicz



Rok V Nr 10(54)

PAŹDZIERNIK 1995

Czwartek 18 maja 1995

GŁOS
WIELKOPOLSKI

SPORT • SPORT • SPORT • SPORT • SPORT • SPORT •

Życ ciekawiej

Rozmowa z MARIUSZEM SPRUTĄ, poznańskim himalaistą

— Przygotowując się do tej rozmowy natrafiłem na zdanie, że tylko dzięki panu himalaistom jest wciąż żywy w Poznaniu. Czy to prawda?

— Szerze mówiąc spotkałem się już z podobną opinią. Wzięła się ona chyba stąd, że jestem obecnie w Poznaniu jedyną osobą, która wyjeżdża wspinąć się na himalaistyczne ośmiotysięczniki. Brzmi to może nieskromnie, ale tak jest od 1990 roku.

— Poznaniacy jednak na stale zapisali się w historii podboju gór najwyższych.

— Tak. I jest to tradycja, z której możemy być dumni. Pierwsze poznańskie ekspedycje już w połowie lat sześćdziesiątych zorganizował w Hindukuszu Afgańskim Ryszard Wiktor Schramm. W 1971 roku w narodowej wyprawie na Kunyang Chmish (7852 m npm) wzięli udział Stanisław Zierhoffer i Jan Stryczyński. Dokonał zaś Wojciecha Wróza, który zdobył między innymi Kangchenjunge Południową (8500 m npm), Yalung Kang (8450) oraz K-2 (8611) nie sposób wymienić w kilku słowach. W tym miejscu nie można zapomnieć o Tadeuszu Karolczaku (Yalung Kang, Kangchenjunga Pd, Cho Oyu (8201) i Przemysławie Piaseckim (Yalung Kang, K-2).

— Większość ludzi odkłada oszczędności, by kupić jakąś konkretną rzecz. Co można zobaczyć na szczycie wielkiej góry, że pan decyduje się przetrząsnąć z moim zbieraniem pieniędzy, na jego osiągnięcie?

— Nie wyjątkowego. Najczęściej gruzowisko kamieni lub rozległa kopuła śnieżno-łodowa. Nie szczyt jednak jest najważniejszy, ale sama droga. Wielu osobom himalaizm kojarzy się wyłącznie ze sportową stroną, z nadludzkim wysiłkiem. A nam góry dostarczają przede wszystkim niesamowitych doznań estetycznych, na których bazie powstają później książki, filmy i zdjęcia. Na pierwszą swoją wyprawę udałem się, jako uczestnik ekspedycji Krzysztofa Wielickiego na południową ścianę Annapurny I (8091 m npm) właśnie po to, by filmować i utrwalać na zdjęciach jej przebieg, a niejako przy okazji spróbować Himalajów. Okazało się, że doskonale się aklimatyzuję, co w połącze-



Mariusz Spruta w drodze na szczyt.

Fot. — Archiwum

niu z doświadczeniem wyniesionym ze wspinaczek w Tatrach i Spitsbergenie, pozwoliło mi wejść na szczyt mojego pierwszego ośmiotysięcznika.

— Nie zawsze jednak wszystkim uczestnikom wyprawy dane jest stanąć na wierzchołku.

— Czasami bywa tak, że jej członkowie pracują na sukces innych osób. Wtedy na szczyt wchodzi tylko lider lub ktoś najlepiej przygotowany w danej chwili w towarzystwie kogoś z ekipy, a pozostali czekają w położonej niżej bazie. Tak właśnie dzieje się na przykład w przypadku niebezpieczeństwa nagłego pogorszenia warunków atmosferycznych. Bywają też inne powody. Uczestnicząc w organizowanych przez Wielickiego eskapadach na Cho-Oyu i Shisha Pangmę nie osiągnąłem żadnego z tych szczytów. Z pierwszego wycofałem się z wysokości 7700 metrów npm, a z drugiego z 7200. Zrezygnowałem, chociaż byłam tak wysoko, że

względem na kłopoty z naczyniami obwodowymi dłoni. Obawiałem się, że odmrozę sobie ręce. Wcześniej wielokrotnie widziałem zdjęcia ludzi, którzy za wszelką cenę starali się wejść na Everest i cel swój osiągnęli. Płacili jednak za to strasznie dużo — wrócili z odmrożonymi rękoma i dzisiaj mają tylko kikuci. Wolałem więc zatrzymać się na niższej wysokości. Zostało trochę żalu, że nie wszedłem na wierzchołek, ale cieszyłem się z sukcesu Krzyśka i innych.

— Himalaizm to niebezpieczna zabawa, nierzadko kończąca się tragicznie.

— Zdaje sobie z tego sprawę, tym bardziej, że podczas wspinaczki zginęła moja dziewczyna. Mimo to nie potrafiłbym powiedzieć górom „nie”. Dopóki one istnieją, dopóty ludzie będą je odwiedzać chociażby dlatego, że są piękne. Sądzę, że ci którzy zostali na zawsze gdzieś tam wysoko mieliby nam za złe, gdybyśmy z ich powodu zrezygnowali ze

wspinaczki. Ryzyko istnieje wszędzie. Na ulicy, w pociągu, i tak dalej, a my nie chodzimy w góry, by się zabijać, ale po to by ciekawiej żyć. Po powrocie do cywilizacji łatwiej znieść stresy z nią związane i codzienne problemy.

— Najbliższe plany?

— W tym roku chciałbym uczestniczyć w wyprawie w góry Karakorum, której celem będzie zdobycie dwóch szczytów Gasherbrum I (8068 m npm) i Gasherbrum II (8035). Rzadko się zdarza, by w czasie jednego sezonu zdobywać dwa ośmiotysięczne wierzchołki. Poza tym myślę o założeniu agencji trekkingowej, która zajmowałaby się organizacją wypraw dla zaawansowanych turystów w miejsca do tej pory dostępne wyłącznie alpinistom. Każdy wyjazd to nowe możliwości i doświadczenia. Może pan wybrzeże się z nami do Karakorum?

— Dziękuję, nie. Taka wyprawa kosztuje pewnie majątek, który chyba będzie równie trudno zdobyć jak oba szczyty?

— Zgadza się. Zbieranie pieniędzy na wyprawę wymaga bowiem sporo wysiłku. Obecnie właśnie poszukuję sponsora lub kilku mniejszych, którzy umożliwiliby mi zrealizowanie celów wspinaczkowych. A takich ludzi jest strasznie trudno znaleźć, bo niewielu chce ofiarować pieniądze na sport tak mało popularny, gdzie zmagania odbywają się bez widowni i rozgłosu. Jest to trudne, ale nie niemożliwe. Na przykład Belgijka Ingrid Bayens zbierała od dziesiątek małych firm drobne kwoty, po 30-50-100 dolarów. W zamian zobowiązała się każdej z nich przysłać kartkę z pozdrowieniami i podpisać uczestników ekspedycji. Sądzę, że taki sposób zbierania dotacji może się udać i w Poznaniu. W zamian za pomoc nie poprzestaliśmy na kartkach pocztowych, opowiedziałbym o swoich wrażeniach na przykład na łamach „Głosu” i zaprosiłbym wszystkich sprzymierzeńców na pokaz przezroczystości. Obecnie oprócz merytorycznego poparcia Urzędu Wojewódzkiego i Urzędu Miejskiego bazuję jedynie na obietnicach dofinansowania wyprawy, a do jej rozpoczęcia zostało zaledwie kilka tygodni.

Rozmawiał
SŁAWOMIR LECHNA

SZTUKA WYSOKIEJ ŚCIEŻKI

Poznałem go w 1985 roku, kiedy był studentem pierwszego roku geografii Uniwersytetu A. Mickiewicza w Poznaniu. Chodził w lekko podniszczonym szarym prochowcu i podobno dorabiał sobie rysowaniem koleżankom i kolegom ćwiczeń z kartografii, siatek na mapach itp. Ma zdolności plastyczne - to nam się jeszcze w życiu przydało. Przyjechał do Poznania z Wągrowca, gdzie mieszkał i kończył szkoły, zawsze ciepło opowiada o domu rodzinnym, siostrzeńcach, jest specjalistą od gwary wielkopolskiej - zwłaszcza "wungrówieckiej", piękne polodowcowe krajobrazy i "zew przestrzeni" popchnęły go na studia geograficzno-geologiczne do uznanej pod tym kątem poznańskiej uczelni. Zanim przejdziemy do meritum jeszcze jedna bardzo ważna pasja - muzyka. Grał zawsze. Z ojcem, na weselach, w zespołach muzycznych, w klubach, w akademiku, na wyjazdach w teren, trochę dla pieniędzy, ale zawsze dla przyjemności. Gitara i gitara basowa. Bez muzyki, rytmu, nucenia nie może wytrzymać chwili, chyba nawet we śnie widzi nuty i słyszy granie.

Ja byłem wtedy na drugim roku tej samej geografii, już bardziej doświadczony, dopuszczony do pewnych gron decydenckich Studenckiego Koła Naukowego Geografów im. Stanisława Pawłowskiego (twórcy geografii poznańskiej w okresie międzywojennym) Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, chodziłem po górach i wspinałem się już wcześniej. Jednak do jaskiń pojechaliśmy wtedy po raz pierwszy. Zima - baza poznańskich speleologów u gaźdżiny Styrzuli w Kościelisku, uczymy się chodzić po jaskiniach, wyposażenie raczej prymitywne, dopiero łykamy bakcyła, który później każe nam każdą nadprogramowo zarobioną czy zaoszczędzoną złotówkę pakować w kombinezony, buty, lampy, a przede wszystkim górskie wyjazdy. Dolina Kościeliska, Chochołowska, grań Tatr, zaczynamy się do siebie przyzwyczajać, poznawać wady i zalety. Wspólne jedzenie, spanie, dyskusje przy piwie. Na następny letni wyjazd nie wyobrażamy już sobie działania innego niż wspólne. Lato, zima, lato... Poznań - zebrania Koła Naukowego, Klubu Wysokogórskiego, ćwiczenia na Cytadeli, skałki, Tatry, Spitsbergen...

I to gdzieś wtedy dokonał się w **Mariuszu** ten wybór - poszedł krok dalej niż ja i stał się profesjonalistą. Postanowił, że całe jego życie wypełniać będą góry. Do dzisiaj konsekwentnie tą ideę realizuje. Tworzy swoją **Sztukę Wysokiej Ścieżki**. Ja mogę mieć tylko tą satysfakcję, że któregoś wiosennego dnia w drugiej połowie lat osiemdziesiątych w skałkach Jury Krakowsko-Częstochowskiej związałem się z nim liną i - tak to pamiętam - przeszliśmy wspólnie pierwszą w życiu Mariusza skalną drogę. Będę się tym zawsze chwalił, że nieświadomie byłem pierwszym nauczycielem wspinaczki **jedynego czynnego obecnie poznańskiego himalaisty**. Mariusz jeździ i organizuje nie tylko wyprawy, ale prawie od początku swojej działalności również na różnych szczeblach ruch związany ze środowiskiem górskim: Speleoklub Akademicki, Polski Związek Alpinistyczny, Festiwale Filmów Górskich.

Poprzez Tatry, góry Turcji, Spitsbergenu trafił w Himalaje. Z Krzysztofem Wielickim atakuje kolejne ośmiotysięczniki. Dzieli z innymi radości sukcesu i gorycz porażki. Spotyka ludzi, których już nie ma, bo na zawsze pozostali w górach. Ma wprost niespotykaną wytrzymałość fizyczną - jeszcze, gdy razem graliśmy w piłkę nazywaliśmy go "Żelazne Płuco" - pozwala mu to na łatwą aklimatyzację i efektywną działalność w górach wysokich. Po półtora roku mojej nieobecności w kraju wróciłem i jako jedna z pierwszych informacji dotarła do mnie ta o zdobyciu Annapurny w 1991 roku. Poszedłem na zebranie Klubu Wysokogórskiego, gdzie mój kolega pokazywał przeźrocza ze swojej wyprawy. Oklaski, gratulacje, rzucam się mu na szyję: "Stary, wiedziałem, tak trzymaj, to trochę jak i ja bym był tam z tobą" - jak i ja bym doznał Sztuki Wysokiej Ścieżki.

P.S.

Mariuszku, przepraszam jeżeli coś przekręciłem, albo zapomniałem o jakichś faktach. Pisałem to raczej pod wpływem emocji, niż opierając się na rzetelnie sprawdzonych dokumentach, które z resztą też mam zgromadzone.

MARIUSZ SPRUTTA

1965-08-09 - urodzony w Wągrowcu

1984 - rozpoczął studia na Uniwersytecie A. Mickiewicza w Poznaniu

1985 - pierwsza wyprawa w jaskinie Turcji

1986-1989 - kierownik Sekcji Speleologicznej Koła Naukowego Geografów UAM

1987-1990 - prezes Speleoklubu Akademickiego w Poznaniu

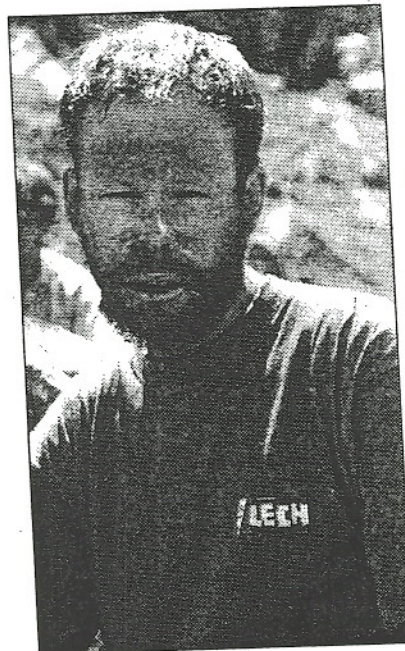
1987 - wyprawa na Spitsbergen

1989 - druga wyprawa do Turcji

1991 - zdobycie Annapurny I (8091 m)

1992-1994 - udział w wyprawach na ośmiotysięczniki: Manaslu, Gasherbrumy, Shisha Pangma i Cho Oyu

1995 - zdobycie Gasherbrum II (8035 m)



ŻYCIORYS TATRZAŃSKI R.W. SCHRAMMA

Zaraz po otrzymaniu informacji wysuplałem z sakiewki ostatnie monety i pobiegłem do najbliższego sklepu górskiego by kupić książkę profesora Schramma "Życiorys tatrzański". Przy najbliższej okazji poproszę o autograf. Tak się składa, że od pierwszych lat mojego samodzielnego chodzenia po górach Profesor pojawiał się w zasięgu wzroku, słuchu. Poprzez ojca kolegi, z którym się wspinał, na zebraniach Klubu Wysokogórskiego, wykładający na moim kursie historii taternictwa. W książkach, przewodnikach, w zestawieniach przejść taternickich, w Tatrach i na Spitsbergenie.

Ładnie wydane, dużo zdjęć, a treść jeszcze dla mnie nie poznana w całości, gdyż pochłaniam ją kiedy tylko mogę - a czasu nie mam zbyt wiele. Przepojona romantyzmem i młodopolszczyzną, jak pisze sam autor: "...młodopolszczyzna mnie formowała - i skorupka nasiąkała". Z resztą o tym stylu R.W.S-a wspomina także Andrzej Wilczkowski w swoim "Miejsu przy stole" (nieomal "Biblii taternickiej" mojego pokolenia). Całość książki wydanej przez Wydawnictwo Górskie, Poronin 1995, stanowi zbiór opowiadań obejmujących okres 1935-1955 będący dla autora czasem tatrzańskim poprzedzającym wyjazdy w inne góry "...w czasach, kiedy Tatry były dla mnie jedynymi wysokimi górami na świecie"

i myślę, że w pewnym sensie nadal pozostały tymi "Najwyższymi".

G.R.

Wiem, że to przeciw prawom autorskim itd., ale nie mogę się powstrzymać od zacytowania fragmentu z samego początku książki.

Z milczącego mroku nade mną wychyla się z ram posępna, czarna głowa Janosika i patrzy ku Tatrom...

Gdy w słoneczne popołudnie idę wolno kamienistą granią od Polskiego Grzebienia ku Małej Wysokiej -

- z dołu, od słonecznego, chlebnego Spisza powiewa leciutki, ciepły wiatr i głaszcze wygrzaną, opaloną skórę -

- jest dobrze.

Przystaję, ocieram czoło wierzchem dłoni, odwracam się - patrzę:

Takie są góry.

Olbrzymie, mroczne ściany-krzepną z oddali w jednolity mur. Spod jasnych piargów, sponad rozślonecznionych stawów, drzemiących wśród wonnych, ciemnych łąnów kosówek i niebieskich od ostróżek trawników - wyrastają srebrnoszarymi zerwami, pną się aż po wysoką grani, umocnioną basztami szczytów, poszczerbioną przełęczami -

Żłobisty - Rumanowy - Ganek.

Wzrok nie ogarnia szczegółów, nie rozróżnia rzeźby. Żleby, grzędy, żebra, filary stapiają się w cieniu - i ta jednolitość granitowego muru potęguje jeszcze jego ogrom. Z boku, poprzez śnieżne pola, nadbiegają skalnymi końmi turnie Żelaznych Wrót. Z tyłu wychyla się podwójny, wysmukły czub Wysokiej, na prawo legły Rysy szerokim masywem. Szczyty coraz bardziej błękitne i srebrne pod jasnym, sierpniowym niebem, pod zwiewnymi, bladymi obłoczkami, góry coraz dalsze i dalsze...

Granit na szczycie jest ciepły i wygrzany, zaprasza do spoczynku. Przyjaznym, delikatnym ruchem gładzę jego szorstkość upstrzoną zielonymi i czarnymi plamami porostów. Krew przelewa się wolno, leniwie, upał południa siada na powiekach - nie może go spędzić ciepły wiew. Pod nami legły doliny słoneczne i tak ciche, że zda się, iż słychać szum potoków, pieniających się jasnymi smugami na ich dnie.



RYSZARD W. SCHRAMM, 1995:

ŻYCIORYS TATRZAŃSKI

WYDAWNICTWO GÓRSKIE, PORONIN
s. 248

Będzie lepiej turystom, ale nie tak szybko

Góry bez granic

Znowu będzie można chodzić w Tatry słowackie przez Rysy, Kasprowy Wierch czy Rakon. Niestety, nie wcześniej niż za kilkanaście miesięcy. Wcześniej swobodnie powędrujemy na czeską stronę Karkonoszy

Do wybuchu ostatniej wojny – z wyjątkiem krótkiej przerwy w latach 1918-25 – turyści, niezależnie od narodowości, mogli chodzić bez ograniczeń po całych Tatrach. Po wojnie komunistyczne rządy zamknęły granice.

Możliwość przekraczania granicy polsko-czechosłowackiej w górach – ale tylko na szlakach i wyłącznie dla turystów z obu państw – przywrócono w 1955 r.

Po ogłoszeniu stanu wojennego Czechosłowacja jednostronnie zawiesiła umowę. W 1991 r. wznowiono ruch bezwizowy, ale możliwości przekraczania granicy na górskich szlakach turystycznych nie przywrócono – wtedy głównie z powodu niechęci strony słowackiej.

Niecierpliwi turyści

Teraz polski turysta chce wejść na słowackie Rohacze musi objechać kilkadziesiąt kilometrów, choć od granicznego Wołowca dzieli je kilkanaście metrów i kilkanaście minut drogi.

Turyści i tak chodzą na słowacką stronę, tyle że nielegalnie. Bo góry kuszą, a w tłumie przemierzającym szlaki łatwo zginać z oczu kontrolującym z rzadka pogranicznikom.

W kwietniu tego roku eksperci Polski i Słowacji uzgodnili, że granica w Tatrach znowu zostanie otwarta. – Na pewno zawrzemy odpowiednią umowę – powiedział „Gazecie” Jaromir Kalicak, szef słowackiej administracji celnej, która zarządza przejściami granicznymi. Projekt umowy przygotowany przez polską straż graniczną już jest. – Chcemy, by weszła w życie jak najszybciej

HANNA PYRZYŃSKA



– zapewnienia Jarosław Żukowicz, rzecznik Straży Granicznej.

Jednak zanim rozpoczyna się negocjacje ze Słowacją, umowa wymaga jeszcze uzgodnień międzyresortowych. Dlatego można się spodziewać, że granica zostanie otwarta dopiero za kilkanaście miesięcy. Będzie można ją przekraczać na szlakach turystycznych, a turyści będą okazjonalnie kontrolowani przez celników i pograniczników. Umowa ma dotyczyć również Pienin, a nie wyłącznie, że także innych gór na granicy ze Słowacją.

Czasi bardziej rychliwi

Chyba szybciej – może już w najbliższym sezonie – doczekamy się otwartych szlaków na granicy z Czechami – w Karkonoszach i zachodnich Beskidach. Rozmowy trwają. Czasi chcą wcześniej

zmienić przebieg swoich szlaków turystycznych prowadzących przez rezerwaty, by tłumy wędrowców nie niszczyły przyrody. – Proponujemy najpierw otworzyć granicę w 14 miejscach – poinformował „Gazecie” szef czeskiego GUC Miroslav Karik.

– Nie chcę jeszcze ujawniać wszystkich szczegółów – mówi Jarosław Żukowicz, ale mogę powiedzieć, że chodzi m.in. o szlaki na Śnieżce, Szrenicy i Przełęczy Karkonoskiej.

HANNA NOWAKOWSKA



SLADEK NKSZYCH PETYCH

Gazeta Wyborcza
25.10.95

MATEJOWEN 194

foto: WOJTEK ROŚK